Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Fot. Konstanty Komierowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 36 (691) 3 WRZEŚNIA 1932 R.



Polesie. Fot. J. Berbeka.

LEŚNICZÓWKA NA MOCZARACH.

Dwaj drwale miarowo uderzali siekierami w smukły pień chojaka, potem brali piłę, odgrzebywali śnieg, przyklękali i stal ze szmerem, a szybko, zaczynała się wgryzać w zmarźnięte drzewo. Wierzchołek sosny, lekko drgał. Poruszyła się gałązka jedna, druga, opadły płoty śniegu, jak łzy przez pień przeszedł jakgdyby dreszcz, w powietrzu jakby coś jęknęło... Piła poruszała się coraz szybciej, wreszcie jeden z robotników wyszarpywał ją, obydwaj odskakiwali, i sosna, zataczając koroną wielki łuk, z trzaskiem waliła się na inne, już leżące obok niej.

Ludzie zbierali narzędzia i przechodzili do następnej. Interesowała ich tylko jej miąższość, gdyż płacę mieli od metra sześciennego, a że tam te sosny wywędrują do Niemiec, że Polak, prócz tej kupy gałęzi i paru marek za robociznę, nic nie będzie miał — nie ich w tem głowa...

Wąską drożyną leśną, pośród nowej poręby, szedł wysoki, starszy człowiek, wojskowy w niemieckim mundurze. Był to leśniczy Przybysz, Ślązak z pochodzenia, którego tu na odżywienie się i wypoczynek przysłało niemieckie dowództwo. Na froncie — jako mięso armatnie dla dział francuskich i angielskich — był bezużyteczny narazie. Utykał na nogę, miał brzuch przebity bagnetem senegalskiego strzelca, jedną kulę wyjęto mu podczas operacji z piersi... Uwiesił ją też na łańcuszku od zegarka i często lubił brać w palce i z porozumiewawczym uśmiechem oglądać. To była jego intymna przyjaciółka: przeszyła pierś w pobliżu serca ta długa, nieco zgięta mosiężna żmijka!

Cera twarzy od tego czasu pozostała żółta, jak po rozlaniu żółci, kasłał i chrychał wciąż, i na komisji powiatowej w dawnem gubernjalnem mieście „Herr Oberst" rzekł, niezbyt się krępując, do swego kolegi, że „Förster Przybysz, jeżeli nie zamrze tej zimy, to z pewnością nie przetrzyma następnej wiosny tam, pod Verdun"...

Na dźwięk tej nazwy apetycznej Ślązak drgnął. Verdun! Ta forteca sen spędzała z oczu generałów, krew mroziła w żyłach żołnierzy. Wszędzie, byle nie tam! To też na dosyć często powtarzające się komisje stawali drżąc na całem ciele. Leśniczy Przybysz, któryby się obraził, gdyby go kto posądził o brak odwagi, jednak na jakieś dwa tygodnie przed komisją nie spał całemi nocami, nie dojadał, pił ocet i mocną herbatę... A kiedy stawał jak z krzyża zdjęty przed areopagiem i kiedy zapadał wyrok „odroczenie"! — bezskutecznie próbował się odżywić.

Więc i teraz, z nieodłączną fajką w zębach, szedł drogą, życzył robotnikom „Panie Boże dopomóż"! — na co padały niezmienne odpowiedzi. — „Panie Boże zapłać"! — szedł i wsłuchiwał się w tajemne, jemu tylko zrozumiałe szepty chorego organizmu. — Jest źle! — zawyrokował. — Trzeba będzie Marynie kazać naparzyć rumianku, a do łóżka, na noc, gorącego mleka z masłem. Tak, jak leczyli się ojce i dziady — sztygarzy śląscy.

Uwagę jego zwrócił dymek, wydobywający się ze sterty podkładów kolejowych. Mijając ją, zajrzał krytycznie do wnętrza i ujrzał skuloną w głębi postać ludzką, obrośniętą, czarną, obdartą, o wielkich mięśniach roboczego wołu. Człowiek ów poprawiał patykiem żarzące się węgle pod żołnierskim kociołkiem, ustawionym na dwóch kamieniach.

Czarne, połyskujące oczy, z zarysowanemi nad niemi silnemi łukami brwi, wlepił z uwagą w leśniczego, jakgdyby badał jego siłę fizyczną, potem skrzywił się z lekką wzgardą i odwrócił głowę.

— Dziwny człowiek, czy też półzwierzę? — mruknął Przybysz, trząchając głową, jakby chciał odpędzić od siebie obraz tej stwory.

Drożyna biegła jeszcze jakiś czas wysokopiennym lasem, potem wspięła się na krawędź ni to wału, ni to przedhistorycznej tamy. Las sosnowy skończył się i po obydwóch stronach zapanowała niepodzielnie olszyna, zrzadka przetykana u spodu krzewami wilczych jagód, włochiń lub, w suchszych miejscach, jałowca. Tu i ówdzie srebrzył się smukły pień brzozy lub chwiały szemrząc bezustannie oliwkowo-zielone gałęzie osiny.

O dwa stajania od skraju olszyny wał nagle się zniżał i rozszerzał w obszerną polankę, pośrodku której stała leśniczówka, przy niej zabudowania gospodarskie wszystko otoczone wieńcem odwiecznych, omszałych dębów.

Dwa ogromne brytany zerwały się na przywitanie gospodarza, skamląc radośnie. — Cicho Milo! Leżeć Ner! — wołał leśniczy, zadowolony z oczekującej go smacznej strawy. A już Maryna otwierała drzwi, skąd zalatywał zapach kraszonej suto kapusty.

— Co słychać nowego, Marylu? — rzucił sakramentalne pytanie.

Dziewczyna podniosła zapaskę do ust. Już szereg miesięcy była tu gospodynią, a wciąż jeszcze nie mogła się przyzwyczaić do serdecznego i poufałego sposobu obejścia Przybysza. Tyle lat poniewierki i u obcych ludzi: najpierw pasionka, potem kopanie kartofli i najcięższe roboty w polu i domu, pozostawiły na niej niezatarty ślad. Zawsze była nędzarką, nie miała nic swojego, więc kiedy znalazła się we względnym dostatku — zrozumieć tego nie mogła, obawiając się, iż to tylko kaprys pański, że jutro znów znajdzie się bez kęsa strawy i dachu nad głową. To też gdy stłukła jakieś naczynie lub źle przyrządziła potrawę — płakała długie godziny i z nowem zdziwieniem wyczytywała w oczach swego pana, że się nie gniewa...

— A nic, proszę pana. Był ino gajowy z Zachacia i mówił, co będzie prosić o zwolnienie ze służby. Noc w noc budulec kradną, nijak rady sobie dać nie może. Psa mu struli, konia skaleczyli — kuleje, samemu kartkę na drzwiach przylepili, że do Wielkiejnocy nie doczeka... mówiła z przejęciem.

— Oj, strachy na Lachy... Damy my im budulec kraść. Już to napewno sprawka tych pogorzelców z Nowego - Zachacia. Jak się sam za nich wezmę, obaczysz!

Podczas obiadu opowiedział dziewczynie o dziwnym człowieku, spotkanym w owej norze, zmajstrowanej ze „szweli". Zauważył jak nagle odłożyła łyżkę, śledząc gorączkowo opis jego wyglądu.

— Nic, tylko Wiciuk przyjechał! O Boże, ty mój Boże! — wyjęknęła, załamując ręce.

— Jaki Wiciuk? Co ci jest Marylo?

Pokraśniała tak, jak te wycinanki zdobiące ściany dookoła. Spojrzała błagalnie na leśniczego.

— Wiciuk to... mój narzeczony. Kiedy ja byłam na wyrobku, on zgodził się na parobka do szynkarza. Potem daliśmy sobie słowo, a jak jego wygnali — poszedł do Białowieży, do lasu, ale obiecał wrócić. I przyszedł... Ale ja nie chcę za niego iść, to straszny człowiek...

— Nie chcesz iść, to nie pójdziesz. Któż ciebie zmusi? A jak będzie ci dokuczał, to zajmą się nim żandarmi, już postaram się o to. Teraz ja się odrobinę prześpię. Obudź mnie za dwie godziny, pojadę do leśniczego Müllera, a stamtąd udam się na noc do lasu na Zachaciu. Wrócę może dopiero nad ranem! — z temi słowami położył się na tapczan, zastępujący szezlong, i chrapnął potężnie.

*

Nad wieczorem, kiedy smugi cienia kładąc się na śnieg przechodziły z purpury w fiolet, a mróz zelżał i zanosiło się na odwilż, zbliżył się do leśniczówki człowiek z lasu i, otulając się w swoje łachmany, gwizdnął trzykrotnie przeciągle, potem raz krótko. Dom milczał jak wymarły. Włóczęga powtórzył swój gwizd. Brytany w odpowiedzi ujadały wściekle, brzęcząc łańcuchami i miotając się wzdłuż podwórza na zawieszonych górą drutach.

— A suka! — warknął. — Rozsmakowała się w letkim chlebie, to tera znać mnie nie chce, ale czekaj!

Jakby przeczuwając groźbę skrzypnęły drzwi i wyszła przed sień Marysia.

— Weźże, weź te kundle, bo im grzbiety poprzetrącam. A żywo, bom głodny i zmarzłem. Przeklęte chamy — człowiekowi noclegu udzielić się boją!

— Jakżeż można, Wiciuk? A co będzie, jak leśniczy przyjdzie i ciebie zastanie?

— To ja go... (tu zrobił znaczący ruch palcem po gardle) i ciebie to spotka, tylko się nie pośpiesz, suko jedna!

Ramiona jej drgały, kiedy zamykała psy w stajni, a potem szła ze schyloną głową za Wincentym do wnętrza domu.

— Jeść, ale coś gorącego! Pić, ale mocnego! — komenderował, rozglądając się dookoła. Dostrzegł stojący za piecem sztucer. — Dobra sztuka, w sam raz dla mnie! — zauważył.

— Wiciuk, czyżbyś chciał?... — zapytała błagalnie.

— A co ty myślisz? A bo to polować nie trzeba, abo bronić się? Nie wiesz jakie to tera czasy, że na człeka, jak na wilka polują — ziandary.

Szybko pożerał podaną sobie kapustę, przegryzał ją kawałem wieprzowiny, którą trzymał w brudnych palcach, z niechęcią odsunąwszy podany nóż i widelec, łyknął raz i drugi „Winkelhausena" i zaczął znów:

— Słuchaj ty, pamiętaj — jemu ani słowa o tem! I przed niedzielą masz mi go porzucić. Nie chcę, abyś się Szwabom wysługiwała! Dziękuj Bogu, że cię jeszcze taką chcę, jaką jesteś, ty... — smignął ją plugawem mianem.

— A przecież poszłam do niego z myślą o tobie. Pensyją dał mi dobrą: pobędę zimę — krowę kupię, albo i przyodziewek jaki. Nie lepiej to ci, aniżeli dziadówkę z pod kościoła brać? Sam też nic nie masz, z czego się dorobimy? A i dzieci, jak będą, na żebry mają iść? — głos jej wzbierał nieznaną siłą i oburzeniem. Ale nic tu nie dam zabrać — póki ja tu jestem — rozumiesz!

Wincenty wstał, wysmarkał się palcami „po rosyjsku", przeciągnął, aż w stawach chrupło, popatrzał na wydatną pierś dziewczyny, falującą z oburzenia, na biodra, ale potem rozmyślił się snać i flegmatycznie zaczął wybierać sobie spodnie z kilku par, wiszących pod pokrowcem na gwoździach.

— Nie rusz! Nie wolno! Nie twoje, złodzieju jeden! Wygnali cię, boś kradł u szynkarza, znów przyszedłeś! — uczepiła się jego ramienia.

— Puść me, bo zdzielę! Puść, mówię! — a gdy nie puszczała — uderzył ją w piersi aż padła nawznak, uderzając głową o podłogę. Zabrał sztucer, naboje owinął w spodnie i pogwizdując wyszedł.

*

Pogawędka u kolegi bynajmniej nie pokrzepiła leśniczego Przybysza. Krążyły głuche wieści, że rezerwy ludzkie w głębi Niemiec coraz bardziej się wyczerpują i że wkrótce ma się odbyć nowy przegląd zbieraniny, jaka obsiadła kraje okupowane i łupiła je bezlitośnie.

— Tak, jest źle... A przecież człowiek, co w jego mocy, zrobił. Zdrowie stracił... — wtrącił ostrożnie Müller.

— Bodajby tak już raz koniec tej rzezi! — podjął Przybysz. W duszy dodał: „Żeby tak móc pozostać w tej zacisznej leśniczówce, pomiędzy tymi spokojnymi, dobrymi ludźmi".

Rozstali się pełni troski i niepewności o jutro. Konia miał Müller odesłać nazajutrz umyślnym. Brnąc w zamyśleniu po wilgotnym śniegu, dobrze przed północą stanął Przybysz na obranem miejscu w uroczysku Zachacie. Była to dosyć głęboka kotlinka między dwoma wzgórzami, porośniętemi sosnowym lasem. W pobliżu przebiegała droga i klinem w las rządowy wrzynał się bór chłopski.

Daleko od gajówki, blisko drogi, grunta częstokroć sporne, sosny masztowe — łakoma rzecz, — idealne miejsce do kradzieży, to też nie było niemal dnia, aby nie przybył w lesie świeży, niecechowany pieniek. W tej to kotlinie zatrzymał się leśniczy; przy słabym odbrzasku gwiazd nazbierał chróstu i rozpalił małe ognisko, ku któremu z przyjemnością wyciągnął zmarznięte ręce i strudzone nogi.

Podkładając od czasu do czasu parę gałązek, stopy podciągnął ku sobie, brodę oparł na kolanach i zapatrzył się w popielejące w płomieniu drzewo. Należało przeczekać pozostałe do świtu parę godzin, zapełnić je zagłębieniem w samym sobie. Zadziwiającem jest, jako mało zazwyczaj czasu człowiek może poświęcić wyłącznie sobie i o ile mniej głupstw i złego popełnialiby ludzie, mając możność zastanowienia się w kompletnej ciszy i spokoju nad projektowanemi czynami.

Zerwał się wiatr i niespodziewanie zadął wzdłuż kotliny. Palący się chróst zadrgał jak żywy, rozżarzył aż do białości, tuman iskierek wionął z wiatrem. Leśniczy zasłonił swoje ognisko własnem ciałem, śledząc uważnie, jak wyschłe zeszłoroczne źdźbła jagodowych krzaczków chyliły się w kręgu światła, jak pod naporem strugi powietrza pokładały się aż na śnieg i kreśliły na nim dziwaczne znaki... Tak jak ongiś w lesie Argońskim... Pamięta, zginął tam jego ukochany brat, prowadząc landwerzystów pruskich na odcinek broniony przez Legję Cudzoziemską. Dużo tam było Polaków...

Zimno! Skulił się mocniej, przysunął do ognia. Obrazy i wspomnienia nadbiegały tłumnie, przywodząc ze sobą szeregi bliskich, dobrze znanych twarzy. Była ich nieskończona ilość, a gdzież są teraz? Ba, nawet nazwisk zapomniał! Cóż u djaska!? Machnął ręką ze złością i kiwnął się potężnie. Zdziwionemi oczami obrzucił otoczenie i uświadomił sobie gdzie jest. Ognisko zagasło niemal zupełnie, wiatr ucichł, jeno górą lasu, między wierzchołkami drzew przeciągał nieuchwytny szmer, zwiastujący budzący się dzień.

Rozgarnął resztki zarzewia, przysypał je śniegiem i poprawiwszy odzież począł się wspinać na wierzch wzgórza. W lesie panowała cisza zimowego snu. Nagle wprawne ucho Przybysza uchwyciło daleki, miarowy stuk. Jest! Oczy mu zabłysły i raptem zupełnie rzeźki i wypoczęty ruszył na odgłos siekiery. Ten zaś chwilami urywał się, jakgdyby ów nieznajomy drwal nadsłuchiwał chwilę, aby potem z nową energją wziąć się do pracy.

Skradając się od drzewa do drzewa zbliżył się na tyle, że mógł dobrze widzieć jednego chłopa siekierą podcinającego sosnę i drugiego trzymającego opodal konia za uzdę. Właśnie teraz ten drugi zwrócił całą uwagę w inną stronę, a jego towarzysz odłożywszy siekierę sięgnął po piłę, kiedy leśniczy kilkoma wielkiemi krokami znalazł się tuż przy nich. Na szelest odwrócili się i zastygli ze zdumienia.

— Ej, wy! Ręce do góry!

Usłuchali rozkazu.

— Złapaliście się, ptaszki. Zwalić tę nadrąbaną sosnę i razem z już ściętą załadować na wóz. Pojedziecie ze mną do leśniczówki!

W ponurem milczeniu zabrali się do wypełnienia pracy — już nie dla siebie. Wkrótce byli gotowi i rozciągnięte podwozia ruszyły z miejsca, kiedy leśniczy sięgnął po rewolwer i odwrócił się szybko. Za nim, z siekierą w ręku, stał jeden z chłopów.

— Rzuć to, ty psie! Odpokutujesz jeszcze i za twe zamiary..., — urwał nagle, bo twarz wydała mu się dziwnie znajoma. Któż to jest? Czy jedna z mar nocnych? Usłużna pamięć z nieskończonej galerji obrazów przywiodła mu jeden; nora z podkładów kolejowych i skulony w głębi człowiek czy zwierzak...

W leśnictwie musieli zwalić skradzione kloce i, po zapisaniu nazwisk, zostali zwolnieni do domów. W niedługim czasie miała na nich spaść drakońska kara pieniężna.

Dok. nast.

KONRAD JOTEMSKI



MOJE PIERWSZE TRZY KUROPATWY.

Podobne tematy są tak wyślizgane, jak zamarznięta kałuża obok ludowej szkoły, tak często wypożyczane wzajemnie, jak bakcyl lub frak na przedmieściu, wreszcie jak tytuł doktora lub parasol w nocnej kawiarni.

Surowa i nieprzekupna statystyka wykaże kiedyś— w braku czegoś lepszego — ilu adeptów łowiectwa wprawiało się na temat: „mój pierwszy rogacz", ilu zaś dręczyło zająca po śmierci — i to nie w normalny sposób na talerzu przy pomocy widelca, ale tak ponurem narzędziem tortur, jakiem jest pióro, a jeszcze — broń Boże — wieczne.

Pewien zacny leśniczy w swoim „Sensacyjnym pamiętniku" urządza, hołdując powyższej niesamowitej metodzie, pogrom wszystkich niemal rodzajów naszej zwierzyny łownej. Zginął tam i poczciwy derkacz pospołu z groźnym niedźwiedziem.

Pozwólcie tedy w imię sprawiedliwości zabić po raz drugi moje pierwsze trzy kuropatwy... bo już zgoła nie wiem, o czem pisać. Miło jest wziąć gruby pieniądz za elaborat pod tytułem: „Jeszcze kilka słów w sprawie długości ogona settera kurlandzkiego", albo za wylew szlachetnego oburzenia w obronie Manlichera — Schoenauera 6,5. Miło jest roztrząsać takie subtelności, jak ton główny w śpiewie głuszca. Wielki Boże! Sztucera nigdy nie posiadałem, zaś głuszca nigdy nie spotkałem — ani w jadłospisie, ani na dość zresztą krętych dróżkach mego życia. I nie wiem, co zacz jest ów ton główny w jego telękaniu, zwanem przez ugrzecznionych ludzi śpiewem — natomiast mam pewność, że nie każdemu człowiekowi w życiu sądzone jest wydanie tonu głównego i że przeważnie bywa on skazany na podrzędne kwękania i pomruki.

Poluję — ergo musiałem kiedyś rozpocząć swoją dość smętną karjerę łowiecką. Oświadczam tedy na piśmie bez drgnienia ręki, że na początek zabiłem trzy kury i w dodatku jednym strzałem. Stąd ten tytuł pozornie dyszący arogancją i rozpychaniem się łokciami. A zresztą... prawdziwy myśliwy, który zna wartość ozdobnego słowa, nie zadziwi się, zaś o dyletantów tyle mi chodzi, co o pustą, czterokrotnie nadużywaną i przeto pękniętą tekturową gilzę.

Było to w tych odległych czasach, kiedy nasi dziadkowie mieli własne majątki tysiąc morgowe i nie śpieszyli się bynajmniej do powiatowych miasteczek, aby obejmować tam jakoweś agentury ubezpieczeń od gradobicia lub posady kasjerów w kinoteatrach. Było to w tej bogobojnej epoce, kiedy wystawienie weksla miało ten sam posmak sensacji, co dzisiaj wykupienie tegoż w terminie.

A więc wieś prawdziwa za siedmioma górami i tyluż rzekami, zarzucona ręką Opatrzności w sam ośrodek ciszy i beztroski. Wieś z lasem, stawem, młynem, odrobiną hipotecznych długów i czarnobrewemi mołodyciami, które przy pieleniu buraków — na widok wyrostka-panicza w gimnazjalnej czapce — kokieteryjnie wydzierały się:

— Za horodom buła głyna,
Zaszoś mene, mamo, była?
Zatom tebe, doniu, była,
Żebyś z panom ne chodyła...

Gdy zżęto olbrzymie łany pszenicy, gdy rankami przeciągał już nad ścierniskami tęsknie szemrzący wiaterek, jako zapowiedź jesieni — wtedy pewien czwartoklasista kupował za rubla srebrnego, otrzymanego od babki z powodu wyprawy na odpust, nieco prochu, śrutu i kapiszonów, wypożyczał kosztem tysiąca zaklęć starą pojedynkę kapiszonówkę od pijaczyny ekonoma i gubił się w złoto-szarej dali za stodołami, dygocącej od huku i pojękiwań dwóch ośmiokonnych młocarni.

Czysto myśliwskim, podpatrzonym krokiem wędrowałem przez ściernie, dzierżąc nabożnie pojedynkę o graniastej lufie i niewiarygodnie olbrzymim kurku, snać dorobionym przez solidnego dworskiego kowala już w czasach historycznych. Kroczyłem z bijącem sercem, z jakowąś rozkoszną trwogą i udręką ku wyczuwanej tajemnicy. Czyż nie drzemie ona kędyś pod miedzą wśród bujnych ożyn i bodjaków, ukołysana leniwem cykaniem polnych świerszczów, ugłaskane bladym promieniem jesiennego słońca? Co porwie, olśni i zachwyci nagłym polotem, skokiem, szelestem. Czy drobna przepiórka, czy hałaśliwa kuropatwa, czy może sam zając?

Tymczasem jednak moja niezaradność była przez los oszczędzana jaknajsumienniej — prawdopodobnie w jakichś wysoce podstępnych celach. Z poza górki wyłoniły się, piszcząc i zgrzytając zębami, konne grabie, powożone przez kiwającego się miarowo fornala. Tkwił on w siedzeniu dość przypadkowo, rzec można irrealnie. Głęboko na oczy nasunięty kapelusz znamionował, że poczciwiec albo spał, albo był bardzo blizki tego błogostanu. Siwa, o zapadniętych bokach i głęboko zaklęśniętym grzbiecie, kobyłka szła żwawo i służbiście. W miejscu, gdzie należało przystanąć i uwolnić aparat od zgrabków, starowina zatrzymała się i jęła popasać.

— Wasylu! — krzyknąłem do ucha fornalowi.

Ten zatrzymał się i omal nie spadł z kozła.

— Oj! Ażem si nastrachał... panycz mołodieńkij, to i zbytki si trymajut... hejta!

— Nie widzieliście czasem kuropatw, a możeście zgarnęli je na kupkę — co?

— Może de i buły, ałem ich ne baczyw. Szczo prawda — to prawda — mamrotał.

— No to śpijcie, Wasylu, zdrowo — uspokajałem go, ruszając dalej.

Wasyl pokazał zdrowe zęby w chytrym uśmiechu i przemówił po polsku: — Niech Bóg broni, paniczu... raz że grabiarka trzęsie, jak nieszczęście, a po drugie że „wokumon", a to i sam dziedzic mogliby nadjechać...".

Machnąłem ręką, bo w tej chwili zoczyłem na sąsiednim łanie szarą gromadę owiec, a opodal samego owczarza — mego przyjaciela i doradcę w sprawach myśliwskich. Był to człowiek jeszcze młody, ale poważny. Dostojność jego zajęcia i ustawiczne meteorologiczne dociekania harmonizowały zupełnie z puszystemi bokobrodami, jakie nosił, i mądrym wyrazem twarzy. Stojąc przypominał rzadką literę, zwaną ygrekiem, figlarnie odwróconą do góry nogą. Jego piesek Kurta, biały o równie mądrej minie owczarek, trzymał w ryzach ustawicznie rozłażące się „jarki".

Owczarz, jak zresztą należało przypuszczać, widział i wiedział wszystko: przed małą godzinką owce spłoszyły zająca. Silny był zając — z wierzchu „szmorgolasty" (ulubione wyrażenie owczarka) i wielki, jak baran. Rozpędził owce, przeskoczył przez zdumionego Kurtę i „pognał w łąki aż się zakurzyło". Przepiórek jest dosyć, tylko że to-to małe i strzału nie warte, a co do kuropatw, to ogromne ich stado zapadło tylko co w samym skraju ścierniska — tuż przy łące. Gdy jest ochota, to można pójść i spróbować szczęścia. Kurta je odnajdzie z całą pewnością. Tak brzmiała relacja tego miłego człowieka, który wprawdzie jeszcze ludzkości nie kurował, ale już nagromadził w swej duszy spory zapas balsamu.

W rezultacie uformował się pochód, na czele którego posuwał się z filozoficznym umiarem Kurta, merdając kusym ogonkiem. Za Kurtą ja — w śmiertelnym niemal strachu — bo inaczej niepodobna nazwać drżenia rąk i nóg, bicia serca, gorączki i kłapania zębami.

A z boku kroczył owczarz. Już dochodzimy do „bodjaków", pozostawionych przez żeńców tu i ówdzie, już zbliżamy się do łąki. ...Kurta coraz żwawiej chłodzi się resztką ogona — naraz szumne „prr" — i ogromne stado kuropatw zerwało się półkolem tuż z pod nóg i zawisło w powietrzu.

Pośpiesznie i nie mierząc — niby w obronie całości swojej osoby — wypaliłem z pod pachy. Kopnięcie w bok, rozkoszna woń przypiekanych jaj w gęstym obłoku istotnie dymnego prochu — oszołomiły mnie do reszty. Świat się zawalił stanowczo.

Gdym przejrzał i ochłonął — rzuciłem się naprzód. O radości! Kurta tłamsi trzepocącą się kurę, zaś poczciwy owczarz ugania po łące. Runął w trawę, jak długi. Nakrył zbiega, złapał. Niesie. Po drodze schyla się i podnosi jeszcze jedną. A więc trzy! Podbiegłem i z zadziwiającą jasnością zacząłem tłómaczyć owczarzowi, jak to mądrze strzeliłem, z jaką przezornością „pociągnąłem" po główkach, puszczając nieco kury i mierząc w największe skupienie. Co to za kapitalna broń! Jak precyzyjnie bije!

Stanowczo w tym pierwszym tryumfie myśliwskim rozpętał się we mnie epos. Potem wypaliłem grubego papierosa z machorki owczarza, obiecałem mu złotówkę, ponownie rozbudziłem Wasyla i zaznałem słodyczy jego pochwały (— Ale panycz fajne strylaje... no-no!).

Że dwie godziny obnosiłem swą zdobycz: byłem w obu stodołach, na gumnie, przedefilowałem przez wieś, zainkasowałem pół rubla od dziadka na proch i kilka cmoknięć pachciarza, łażącego, jak zmora, za dziadkiem.

Potem przeniosłem się pod dach. Babka zajęta była z „kucharzuniem" układaniem na przetakach celem obsuszenia smażonych gruszek. Ucieszyła się ogromnie: — moje dziecko kochane — aż trzy kuropatwy! Patrzcie no! „Kucharzuniu", który nic nigdy nie chwalił — prawdopodobnie dlatego, że sam rzadko odbierał pochwały — fachowo obracał ptaki i mruknął: — Młódki... ale już w mięsie!

A później? Później usiłowałem odrysować kuropatwę i opisać ją na wzór Brehma, którego właśnie studjowałem; odnotowałem w pamiętniku pod datą 23 sierpnia 1878 roku, co następuje: „Ładny dzień. Zabiłem trzy kuropatwy jednym strzałem za stodołami w ścierni po pszenicy. Młódki". W nocy niewiele spałem, bo zajmowałem się odtwarzaniem w najdrobniejszych szczegółach przeżytego zdarzenia.

Poczem skonsumowałem jedną z nieboszczek, owiniętą w płat słoniny i liść winogradowy. Z borówkami i wśród należnych mi honorów. Wyjęte z niej trzy czarne spłaszczone śruciny ostentacyjnie zawinąłem w papier i schowałem do kieszeni na szczęście. Zaraz nazajutrz spudłowałem niemi do siedzącej wrony.

A wreszcie setka późniejszych pudeł smętnym oparem rozczarowania przesłoniła ten mój pierwszy sukces myśliwski!

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.



WSPOMNIENIA Z PÓŁNOCNYCH KNIEJ.

Rozległe obszary północnych puszcz rosyjskich, pełne dzikiego zwierza, zamieszkuje ludność, której głównem zajęciem jest łowiectwo.

Powiaty Wołogdy, Wiatki i Nowgorodu, zwłaszcza w północnych kniejach, są rajem dla myśliwego. Nie mówiąc o grubym zwierzu, jak łoś i niedźwiedź, który w latach przedwojennych spotykany był dość często, mnogość drobniejszego zwierza, będącego pożądaną zdobyczą ze względu na cenne skórki, jak również mnogość wszelkiego ptactwa łownego zapewniała zawsze powodzenie łowów.

W kniejach i mszarach, sąsiadujących z linją kolejową Moskwa — Wołogda — Archangielsk, widywałem w porze złotej jesieni porywające się wielkie stada cietrzewi, które nie płoszone przez nikogo podlatywały niedaleko. Lecz jakże inny charakter noszą te łowy, niż u nas w Polsce lub w krajach zachodnich. Jakże pierwotnym tam jest myśliwy!

Zapewne rewolucja rosyjska i prawa sowieckie nic tam nie zmieniły. Odbywa się ten odwieczny proceder łowiecki bez pisanych praw i przepisów, tradycja panuje tam niepodzielnie. Obszary łowieckie stanowią dziedziczną własność z dziada pradziada. Granice nie są ustalone, miarodajnymi zaś są szlaki, którymi myśliwy obchodzi swoje rewiry i na których zakłada sidła na zwierza. Szlaki te nieraz należące do dwuch myśliwych krzyżują się z sobą, jednak jeden drugiemu nigdy w drogę nie wejdzie i nie zabierz zwierzyny złowionej na cudzym szlaku.

Broń palna używana tam jest w rzadkich wypadkach, kiedy użycie jej staje się koniecznością.

Ogólnie uznanemi i używanemi przez myśliwców tych kniej rozległych są sidła najróżniejszych pomysłów i konstrukcji.

Zapytanie skierowane do jednego z mieszkańców puszczy w powiecie Chołmogorskim, dlaczego stosuje tak barbarzyński sposób łowów, jakim są sidła, wywołało na jego twarzy zdziwienie, a odpowiedź brzmiała ironicznie: „To byłoby bardzo nierozsądnie używać broni, która czyni tyle hałasu, toż wszystką zwierzynę wypłoszyłbym ze swych terenów. Przeciwnie, aby osiągnąć powodzenie i pomyślne rezultaty łowów, należy zwierzynie zapewnić jaknajwięcej spokoju i niczem ją nie płoszyć. Ja staram się zachęcić ją do najczęstszego przebywania w obrębie moich kniei, a sidła zwierzyny nie odstraszają".

W tej kwestji pozatem gra rolę koszt, jaki powoduje używanie broni palnej, jak również wzgląd na to, że postrzałowe rany zadane zwierzynie powodują uszkodzenia skórki lub utrudniają do pewnego stopnia konserwowanie dziczyzny.

Niektóre sposoby łowienia na sidła, zwłaszcza ptactwa, są bardzo pomysłowe i ciekawe.

Czytelników, zapewne, zainteresuje, jak łowione są na sidła cietrzewie.

Czas łowów na ptactwo, którego dziczyzna jest przysmakiem i poszukiwana jest na rynkach wielkich miast, rozpoczyna się z chwilą nastania chłodów jesiennych, zwykle na początku października, gdy pierwsze mrozy ułatwią myśliwemu wędrówkę po kniei i dają możność łatwego konserwowania dziczyzny.

Sidła na cietrzewie zakładane są na drzewach, najczęściej na brzozach, stojących na uboczu na polanach lub porębach, aby drzewo z sidłami zdaleka było widoczne.

Sidła urządzone są tak, że dwie dość grube i proste gałęzie jedlinowe wiąże się mocno w kształcie litery T.



„As", „Dżek" i „Alma". Hodowla settrów A. Lezańskiego w maj. „Czarna" stac. Wołomin.

Pionowa gałąź jest oczyszczona z drobnych gałązek, na poprzeczce zaś zostawione są ku końcom po obydwu stronach gałązki, tak aby można było je związać, tworząc rodzaj niewielkich wieńców, skierowanych ku górze.

W gałązkach tych wieńców z obydwu stron poprzeczki umieszcza się ukryte pętle uplecione z włosienia końskiego.

Pętle umocowane są jednym końcem do poprzeczki, a drugie końce w wieńcach tworzą ukryte „oka".

Przyrząd ten umocowuje się na drzewie, z którego liście już opadły, w ten sposób, że pionowa gałąź przywiązuje się mocno lub przybija gwoździami do pnia, a poprzeczka z właściwemi sidłami sięga ku wierzchołkowi drzewa. Należy baczyć, aby nie było gdziekolwiek świeżego zacięcia.

Miejsca okaleczenia gałęzi należy starannie zakryć mchem lub liśćmi.

Po obu stronach poprzeczki poza wieńcami pozostawione są końce długości około 15 cm., na których umieszczona jest przynęta. Za przynętę służą ulubione przez cietrzewie smakołyki, jakiemi są jagody borówek, żórawin, pączki olchy i t. p.

Gdy cietrzew zdala ujrzy przyrząd na drzewie, przez wrodzoną ciekawość zbliży się do zastawionych sideł, a zobaczywszy przynętę, jeżeli nic podejrzanego nie zauważy, usiądzie na poprzeczce pomiędzy dwoma wieńcami, gdyż na końcach, gdzie jest przynęta, ma za mało miejsca do siadania. Poprzez gałązki wieńców spoglądać będzie z apetytem na przynętę,

znajdującą się po drugiej stronie na jednym i drugim końcu poprzeczki. Po pewnym czasie zbliży się do jednego z wieńców i wysunie głowę przez otwór, starając się dosięgnąć dziobem do smakołyków. Wówczas szyją lub tułowiem naciśnie na założoną pętlę, która zaczepia się o pióra, a ptak poczuwszy niebezpieczeństwo gwałtownym ruchem cofnie głowę, wskutek czego pętla zaciska się i cietrzew zawisa, jak na szubienicy.



Gołąb-siniak. Fot. Wl. Korsak.

Sylwetka wiszącego ptaka zdaleka jest widoczna i myśliwy z łatwością bystrym wzrokiem zauważy zdobycz i śpieszy zdjąć ją z drzewa, aby oczekiwać na nową.

Sidła takie pozakładane są w kilkunastu punktach, gdzie cietrzewie najczęściej przebywają. Po obejściu swego rewiru i zebraniu zdobyczy martwe ptaki układa się na desce w ten sposób, aby szyje zwisały z deski dziobami na dół. W tej pozycji trzymane są w ciągu kilkunastu godzin, by znajdująca się w przewodach pokarmowych ciecz należycie wyciekła, potem główki wsuwa się pod skrzydła i w tej pozycji ptaki są zamrażane i układane dziesiątkami do wiklinowych koszyków.

Jako materjał do pakowania używany jest mech i igliwie w którem zamrożona dziczyzna doskonale się konserwuje.

Tak przygotowane transporty nie czekają długo na zbyt, gdyż często przyjeżdżają przekupnie, skupujący dziczyznę, płacąc za cietrzewia po 50 kopiejek, a za jarząbka po 20 kop. za sztukę *). W ciągu jednego sezonu myśliwy sprzedaje po kilkaset sztuk cietrzewi i jarząbków.

*) Ceny z 1914 r.

F. POPŁAWSKI
delegat P. Z. Ł. na pow. Łowicki

DOCHODOWOŚĆ ŁOWIECTWA

Ogólne zdanie myśliwych jest, że łowiectwo nietylko nie może być opłacalne, ale nawet samowystarczalne.

Słuszność tego twierdzenia, jak wskazuje praktyka jest niezaprzeczalna, o ile brać będziemy pod uwagę korzyści materjalne, osiągane z samego tylko polowania z pominięciem intensywnej hodowli zwierzyny i czerpania z tego właśnie źródła dochodów, które nietylko że mogą pokryć koszty gospodarki w łowisku i polowania, ale dawać mogą nawet pokaźną nadwyżkę.

Typowym tego przykładem jest gospodarka łowiecka w dobrach Krośniewickich, pozostająca od lat zgórą 40-tu w jednych rękach, a mianowicie nadleśniczego p. Lazara. Ponieważ z p. Lazarem łączą mnie bliższe stosunki od szeregu lat ze względu na współpracę w zakresie hodowli zwierzyny, jestem przeto może więcej niż ktokolwiek inny wtajemniczony w szczegóły tej gospodarki łowieckiej, co do której pragnę się podzielić swemi spostrzeżeniami z ogółem myśliwych.

Gdy przed czterdziestu zgórą laty p. Lazar obejmował stanowisko wówczas jeszcze tylko leśniczego w Krośniewicach, na łowiectwo zwracano tam, jak zresztą prawie wszędzie, mało uwagi, zadawalniając się jedynie rezultatami, jakie można było bez zbytniego wysiłku i nakładu osiągnąć. Rezultaty nie były najgorsze ze względu na znaczny obszar Krośniewickich dóbr, który wynosił wówczas zgórą 8000 morgów, z czego 1/3 część stanowiły lasy, rozrzucone w szeregu kompleksów. P. Lazar, który wyszedł ze szkoły niemieckiej i odbył tamże praktykę łowiecką, zaraz po objęciu swego stanowiska zabrał się energicznie do podniesienia zwierzostanu w Krośniewicach, mając początkowo bardzo skromne środki materjalne, przeznaczone na łowiectwo. Skromne te środki były nie dlatego, by właściciela Krośniewic p. Rembielińskiego nie stać było na większe nakłady, lecz poprostu dlatego, że w początkach odnoszono się do poczynań p. Lazara z pewną rezerwą, oczekując rezultatów jego pracy.

Pierwszym etapem tej pracy, zakrojonej na szerszą skalę i dalszą metę, było urządzenie łowiska, t. j. doprowadzenie go do takiego stanu, by zwierzyna czuła się w niem dobrze; na rękę w tym względzie było wycięcie w lasach krośniewieckich starodrzewiu, który małą dawał ochronę zwierzynie i zastąpienie go dużemi kompleksami zagajników, które z każdym rokiem stawały się coraz lepszą ostoją dla zwierzyny. Zależnie od gleby powstały w ten sposób piękne zagajniki sosnowe, świerkowe, dębowe i olszowe, wśród których założono poletka dla zwierzyny, a rowy otaczające lasy i drogi obsadzone zostały tarniną, żarnowcem i wiecznym łubinem. Dzisiaj jeszcze choć dziesiątki lat od tego czasu upłynęły, te piękne zagajniki, z których wiele już na las się przeistoczyły, świadczą wymownie o tej mrówczej, a nadewszystko systematycznej z roku na rok pracy, jaką p. Lazar wkładał w ten umiłowany przez siebie las, który robi obecnie wrażenie jakiegoś wielkiego i pięknego parku, zwłasz-

cza na wiosnę, gdy całe połacie lasu pokrywają piękne kobierce konwalji.

Równocześnie z tą pracą, podjętą w kierunku urządzenia lasu jako takiego i jako łowiska p. Lazar dążył do jaknajdalej posuniętego zwiększenia bezpieczeństwa zwierzyny. Pola okolicznych włościan wydzierżawiał, przeprowadzał ścieżki w zagajnikach, ustawiał na nich pułapki na szkodniki, tępił wałęsające się psy i koty, w której to pracy sekundowała mu wytrwale straż leśna i łowiecka. Do niej przykładał p. Lazar zawsze wielką wagę i dzięki temu, że sam był wtajemniczony we wszystkie arkana sztuki łowieckiej, mógł przeszczepić tę głęboką znajomość swego fachu w swych podwładnych, tworząc przez dziesiątki lat całe kadry zawodowo wyszkolonych strzelców i leśników.



P. Lazar ze swą strażą łowiecką.

Pan Lazar, jak wyżej wspomniałem, wyszedł z twardej szkoły niemieckiej, to też choć stosunek jego do podwładnych był zawsze życzliwy, na służbie był zawsze i pozostał bardzo wymagający, trzymając wszystkich krótko, wprost po wojskowemu. Dzięki tej właśnie należycie zorganizowanej straży łowieckiej kłusownictwo w Krośniewicach zostało prawie doszczętnie wytępione, jak również do rzadkości należą dziś drapieżniki, których w okresie tylko 10-ciu ostatnich lat padło 9456 sztuk. Można sobie wyobrazić jak wyglądałby zwierzostan, gdyby szkodniki tolerowano, jak to się dzisiaj w wielu łowiskach u nas praktykuje.

Po tym pierwszym etapie pracy, który nazwać można przygotowawczym, nastąpił drugi, związany z intensywną hodowlą zwierzyny. Rzeczą zrozumiałą jest, że już po tym pierwszym okresie zwierzostan Krośniewic sam przez się zwiększał się z roku na rok znakomicie. Rezultaty parudniowych polowań na zające dawały na rozkładzie zgórą 1000 sztuk zajęcy i pokaźną ilość kuropatw, natomiast sarn było jeszcze mało, a bażanty jako świeżo zaprowadzone, były w niewielkiej ilości. W miarę jednak wzrostu zagajników ilość sarn zwiększała się z roku na rok, dochodząc wreszcie do zgórą 300 sztuk, bażanty zaś dzięki hodowli sztucznej, prowadzonej równolegle obok hodowli na dziko doszły do 5000 sztuk.

Są to ilości osiągnięte w ostatnich latach.

Rzecz zrozumiała, że przy tak znacznych ilościach zwierzyny sam właściciel, jak i zapraszani na polowanie goście, doznawali już nietylko zaspokojenia swej żyłki myśliwskiej, ale nawet wprost pewnego przesytu i to był wzgląd, który skłonił p. Lazara, wówczas już nadleśniczego, do skierowania tej intensywnej hodowli zwierzyny w kierunku podniesienia zwierzostanu już nie u siebie tylko, ale w całym kraju, drogą dostarczania żywej zwierzyny dla dalszej hodowli innym myśliwym - hodowcom, mającym swe łowiska w okolicach ubogich w zwierzynę. Podejmując to zadanie p. Lazar nie myślał wówczas i nie uprzytamniał sobie, że może to być połączone ze znacznymi dochodami, które jak się dopiero w przyszłości miało okazać, zapewnić miały nietylko pokrycie wszystkich rozchodów, ponoszonych na gospodarkę leśną i łowiecką, ale nawet dać pokaźne zyski, zyski, które nigdy nie byłyby osiągalne, gdyby łowiectwo prowadzone było li tylko w celach czysto myśliwskich.

W ten sposób powstał w Krośniewicach nowy dział łowiectwa, który, jak zaznaczyłem, po zaspokojeniu przyjemności, czerpanej z polowania przez właściciela, umożliwiał jednocześnie coroczne sprzedawanie znaczniejszych ilości zwierzyny żywej oraz jaj wylęgowych bażancich.

Sprzedawano w ten sposób rocznie po kilkaset sztuk zajęcy, tyleż kuropatw, po kilkaset nadetatowych kur bażancich z odpowiednią ilością kogutów, jakie pozostawały zbędne po odstrzale, który wynosił około 1000 sztuk kogutów rocznie, oraz po kilka tysięcy sztuk jaj bażancich, jeżeli pominąć sarny, które też w niewielkiej ilości sprzedawano.

Dochód ogólny za lat 25 prowadzonej w ten sposób gospodarki łowieckiej dał brutto około miljona złotych, która to suma, gdyby nie hodowla zwierzyny i częściowa sprzedaż jej w stanie żywym dla celów hodowlanych, która wynosiła przeciętnie 50% produkcji, nigdy nie byłaby osiągnięta.



Domek bażantarnika.

Miljon złotych dochodu z łowiectwa za 25 lat z jednego tylko łowiska — to już suma, nad którą nie można przejść do porządku dziennego, chociażby dlatego, że świadczy ona dobitnie o tem, jak wielkie możliwości rozwoju leżą przed naszem łowiectwem, jeżeli je tylko ujmiemy z właściwej strony.

S. KAMOCKI.

WOLNA TRYBUNA.

POLSKA AMUNICJA W ŚWIETLE CEN.

W Polsce posiadamy tylko dwie fabryki amunicji myśliwskiej: „Warszawska Spółka Myśliwska" i „Pocisk".

Pomimo, że wszystkie części amunicji, za wyjątkiem kapiszonów z zapałem, których fabrykacja krajowa się nie udała, w kraju wyrabiamy, ceny amunicji myśliwskiej polskiej są niewspółmiernie wysokie w stosunku do amunicji zagranicznej. Przecież materjały, jak miedź, tekturę, wojłok i ołów, a także części składowe do prochu produkujemy w Polsce, podczas gdy robocizna jest znacznie tańszą jak zagranicą.

Podaję ceny najnowsze śrutowej amunicji w Niemczech i Czechach odpowiadające typowi naboju bezdymnego „Pocisk Normal":

A. w Niemczech:

Fabrykat Einhorn.
Proch: Troisdorfer Jagdpulwer 1911.
Łuska: z wkładką papową.
Zapał: Typu Gevelot.
Cena za 100 szt. kal. 16 Mk. 11.40.

Fabrykat: Tiger.
Proch: Troisdorfer Jagdpulwer 1911.
Łuska: z okładką stalową.
Zapał: Typu Gevelot.
Cena za 100 szt. kal. 16. Mk. 12.80.

Fabrykat: Waidhel.
Proch: Lignose.
Łuska: z wkładką papową.
Zapał: Typu Gevelot.
Cena za 100 szt. Mk. 11.40.

Fabrykat: Geco.
Proch: Walsrode.
Łuska: wkładka papowa.
Zapał: Gevelot.
Cena za 100 szt. kal. 16. Mk. 11.40.

Fabrykat: Express.
Proch: Rottweil.
Łuska: wkładka podwójna stalowa i papowa.
Zapał: Gevelot.
Cena za 100 szt. kal. 16 Mk. 12.80.

Ceny podane obniżają się przy jednorazowym zakupie 500 szt. 0.25 Mk. na cenie 100 szt.

Z powyższego wynika, że cena naboju śrutowego z łuską odpowiadającą Pociskowi wynosi we wszystkich wymienionych wyrobach niemieckich Mk. 11.40.

Gatunki droższe posiadają lepsze uszczelnienia. Zatem w Niemczech kosztuje jeden bezdymny nabój śrutowy Fen. 11,4, czyli okrągło 24 groszy, a w Polsce 38 groszy. W Polsce zatem naboje są droższe o 58 procent.

B. W Czechach kosztuje 100 szt. naboji śrutowych bezdymnych kal. 16. Velox odpowiadających jakościowo Pociskowi — Normal S. 1.74 czyli 15.49 zł. czyli jeden nabój kosztuje niecałe 16 gr. W stosunku do Pocisku w Czechach naboje tańsze są o 137 procent.

Są to różnice horendalne zwłaszcza przy większem użyciu naboji, a niczem nie wytłomaczone.

Na usprawiedliwienie tych różnic zapewne podadzą fabryki mniejszą konsumpcję naboji w Polsce. Wprawdzie nie mamy dotychczas statystyki zużytych rocznie w Polsce naboji, jednakowoż musi to być dość poważna cyfra. Ilość zwierzyny zabitej rocznie w Polsce musi być znaczna i dorównywa napewno przedwojennym cyfrom. Wiadomo bowiem, że stan zwierzyny drobnej i ptactwa bezwarunkowo nie jest mniejszym jak przed wojną.

Tak samo nie zmniejszyła się ilość myśliwych. A przecież przed wojną jedna tylko firma T. Jaruszewski w Poznaniu, sprzedawała w b. zaborze pruskim rocznie około miljona naboji. Wprawdzie wówczas kosztował jeden nabój bezdymny w bardzo dobrym gatunku 8 f. czyli 18 groszy.

Jeżeli fabrykom chodzi o to, aby konsumpcję amunicji pomnożyć, to należy właśnie a zwłaszcza wobec obecnego kryzysu, gdzie ceny za zwierzynę przeważnie za drobną spadły do połowy, ceny na amunicję obniżyć. Niestety długoletnich wyników statystyki wykazujących, że z obniżką ceny towarów podnosi się ich konsumpcja nie uznają w Polsce ani państwowe monopole ani prywatne. Jeżeli wyżej wymienione fabryki dobrowolnie nie zniżą cen, będzie skutek następujący wobec pogłębiającego się kryzysu:

1) Myśliwi, którzy dotychczas kupowali gotowe naboje, będą musieli powrócić do metody przez nich za młodych lat używanej rekonstrukcji łusek wystrzelonych. Część zaś myśliwych tej kategorji ograniczy zużycie amunicji nie polując na drobne ptactwo.

2) Zarządy większych łowisk będą musiały zaprzestać płacenia premji za tępienie drapieżników z powodu niepomiernie wysokich cen na naboje, co naturalnie odbije się fatalnie na stanie zwierzyny,

3) Młodzież, a więc narybek myśliwski nie będzie w możności ćwiczyć się w strzelaniu wobec drożyzny amunicji, a temsamem odpadnie duży procent myśliwych konsumujących amunicję,

4) Myśliwi polscy będą zmuszeni, aby załagodzić zgubne wpływy monopolu amunicyjnego w Polsce, zwrócić się do naszych władz o zniżkę taryfy celnej dla amunicji fabrykatu zagranicznego.

Teraz kilka słów o kontroli jakości naszej amunicji.

Przez wysokie cła prohibicyjne uniemożliwiono wprowadzenie do Polski prochu zagranicznego pochodzenia. Polskie fabryki prochu wypuściły w handel 2 gatunki prochu bezdymnego do naboji śrutowych: „Sokół" wyrób fabryki w Zagożdżonie i „Łoś" wyrób fabryki w Boryszewie. Jest zwyczajem fabryk zagranicznych prochów że przed wypuszczeniem do handlu nowego gatunku, tenże wypróbowany zostaje na odpowiednich aparatach wykazujących prężność gazów w komorze lufy oraz przed komorą (w najsłabszem miejscu lufy), dalej chyżość wystrzelonych śrutów (V 25) oraz przez porównanie koncentracji śrutów i siły penetracji z innemi znanemi gatunkami prochów bezdymnych. Próby takie winny być przeprowadzane dość często, aby wykazać równomierny gatunek pro-

chu oraz przy różnych temperaturach powietrza. Wiadomo bowiem, że niektóre prochy bezdymne są wrażliwe na różnicę temperatury. Dopiero w ten sposób kontrolowany proch wzbudzić może u myśliwych zaufanie. Tymczasem o ile mi wiadomo, tylko Sokół i to raz jeden został poddany próbom porównawczym — lecz nie we wszystkich punktach podanych przez znanego balistyka gen. Marjańskiego. O próbach takich przeprowadzonych z Łosiem wogóle cicho.

Natomiast jakoś dziwnie tę sprawę prób traktuje fabryka w Zagożdżonie. Otóż wypuszcza ona obecnie w handel trzy nowe gatunki prochu bezdymnego dla kulowej broni. 1) „Kruk" dla broni małokalibrowej, 2) „Królewski" mający zastąpić niemiecki proch Rottweil P (dla kul ołowianych większego kalibru 3) „Dzik" zastępujący R. 5. — dla kul opancerzonych.

Zamiast wypróbować przed oddaniem tych gatunków do sprzedaży siłę prężności gazów, równomierność działania oraz chyżość kuli przy różnych kalibrach i porównać je z oryginalnemi prochami niemieckiemi, przy różnych temperaturach powietrza, to posłano do szeregu firm krajowych sprzedających broń i amunicję a nieposiadających żadnych kontrolnych aparatów, po 50 gramów, z prośbą, aby firmy te proch wypróbowały i o wynikach tych prób doniosły fabryce. Jest to sposób próbowania prochu przypominający czasy ś. p. Bertolda Schwarca, rzekomego wynalazcy prochu czarnego. Najprzód takie próby narażają próbującego ew. na pęknięcie lufy, a z drugiej strony absolutnie nie odpowiadają nowoczesnym wymogom nauki o balistyce. O tem chyba fachowe kierownictwo fabryki prochu wiedzieć powinno. Fakt powyższy naprowadza mnie na smutną myśl, że fabryki nasze prochu, nie posiadają odpowiednio wyposażonego laboratorjum, co jest bezwzględnie koniecznem dla kontroli i ulepszania ich wyrobu. Cieszyłbym się serdecznie, gdyby fabryki nasze mogły mi zaprzeczyć podając bądźto publicznie bądź to prywatnie skład aparatów kontrolnych z zapodaniem systemu tychże.

Amunicja małokalibrowa kal. 22 fabrykowana przez „Pocisk" powinna również być lepiej kontrolowaną. Osobiście strzelam z oryginalnego Mausera a więc pierwszorzędnej broni. Niestety dość duży procent a w niektórych pudełkach dochodzących do 25% pęka w części zawierającej zapał tak, że łuska wystrzelona nie może być przez ekstraktor z komory wyciągniętą. Błąd polega prawdopodobnie na nierównomiernej jakości blachy miedzianej, używanej do sztancowania łusek. Te same niedomagania zauważone zostały przez wielu moich znajomych. Oprócz tego kule ołowiane są za silnie łojone, co powoduje przy liczniejszych strzałach niepotrzebne zanieczyszczenie lufy, wpływające ujemnie na równomierny rozrzut kul. Wystarczy zupełnie aby rowki kuli przykryte łuską były łojone.

Powyższe uwagi zechcą fabryki przyjąć nie jako chęć szkodzenia im, lecz jako rady myśliwego, który od 40 lat zajmuje się z zamiłowania nietylko strzelaniem ale i balistyką.

INŻ. KAZIMIERZ CHRZANOWSKI.

DWA CIEKAWE STRZAŁY.

Było to dnia 6 lutego 1919 roku, kiedy po zajęciu Kowla ruszyliśmy w kierunku Powurska, by uprzedzić zbliżającego się nieprzyjaciela. Pod Wólką Lubitowską nastąpiło spotkanie, gdzie moja straż przednia po walce i szarży wzięła jeńca i zdobycz. Słoneczny dzień, suchy mróz przy dużej powłoce śnieżnej nastrajał nas wesoło, tembardziej, że była to przecież pierwsza służba ułańska dla Ojczyzny wolnej i niepodległej. Młodość, zdrowie, temperament grały w nas wszystkich, nie zważając więc na ogień i przewagę narzuciliśmy w krótkim czasie nieprzyjacielowi swoją wolę i w następnym już dniu komunikat Sztabu Generalnego ogłosił sukces ułanów księcia Józefa.

W czasie tej właśnie potyczki kiedy stojąc przy straży przedniej w starych okopach niemieckich obserwowałem bój na przedpolu, wyrwał się szarak z przed szarżującego plutonu por. Traczewskiego i w przerażeniu swego zajęczego serca sunął wprost na tyraljerkę leżącą w ogniu. Nie bacząc na nic doszedł do niej, minął w przepysznym skoku okop i uchodził za wzgórze chroniące. Obserwując ten obrazek, odezwał się we mnie niepoprawny nałóg myśliwego i wyciągnąwszy jedyną broń, doskonały Parabellum, strzeliłem. Zajączek zaznaczył a na powtórzony strzał zrulował prawidłowo. Mój goniec i kuzyn, a późniejszy przemiły towarzysz niejednej wyprawy myśliwskiej Leś Małecki z dumą przytroczył sobie trofeum do siodła.

W dziesięć lat później z końcem sierpnia prowadziłem ten sam pułk podczas letnich ćwiczeń i stanąłem na kwaterze w starej magnackiej siedzibie w Gumniska. Przemiły i rozrzutnie gościnny gospodarz nie był obecny. Nadjechał późno po południu i nie czekając na moje przywitanie przyszedł mnie odwiedzić a dowiedziawszy się o mej żyłce myśliwskiej, zaproponował wycieczkę do swoich łowisk koło Wierzchosławic.

W chwilę później sunęliśmy małym Fiacikiem prowadzonym po mistrzowsku przez właściciela do jego rewirów. Wieczór zapadał szybko, pozostawiliśmy za sobą spory szmat drogi nie spotkawszy upragnionego rogacza: Jednak patron myśliwych był łaskaw tego dnia na mnie i już w mroku — na skraju odległego lasu zobaczyłem pojedyńczą sztukę, w której nieomylnie poznałem starego kozła. Samochód stanął, okna odkręcone — sztucer do oka — i rogacz padł w ogniu.

Wracając chwilę później uśmiechałem się do siebie — niezwykłe polowanie, mając za szofera księcia — strzelać do rogacza z wygodnej limuzyny!

Z pośród wielu wrażeń, które nam daje przyroda i umiłowanie myślistwa, pozostały mi te właśnie na zawsze jako wielce oryginalne.

Wieczorem po kolacji o staropolskiej gościnności mogłem jeszcze jedno niezwykłe wrażenie dołączyć.

Przy czarnej kawie wprowadzono do salonu ulubieńca stajni Sanguszkowskiej siwego araba, który

nosił na grzbiecie swego pana za jego najmłodszych lat w Sławucie.

Otrzymawszy swoją porcję cukru i pieszczot — odszedł do swoich apartamentów, niczem panna zgrabna i urocza, przywykła do balowej posadzki.

STEFAN Z DEMBINA DEMBIŃSKI.

NALOT GOŁĘBIARZY.

P. hr. Rzyszczewski jest zamiłowanym i wytrwałym hodowcą wszelkiej zwierzyny łownej. Szczególniejszą zaś opieką otacza bażanty, kaczki „krekuchy" i dzikie indyki amerykańskie.

Dla tej zwierzyny przeznaczył osobny rewir „Ostrów" i dużą w nim remizę ochronną, opartą o gruby, dobrze podszyty las.

Przebywają tam bazanty, chowane na dziko i hodowane sztucznie.

Nad łowiskiem czuwa stale strzelec - bażantarnik, uzbrojony w strzelbę, zawsze nabitą, inny strzelec wynosi tam codziennie o świcie i wieczorem, żywego puhacza, przy którym strzela nadciągające drapieżniki, nadto strzegą remizy, liczne żelaza słupkowe, porozstawiane umiejętnie dokoła, wreszcie z końcem sierpnia ub. r. zbudowano specjalny samotrzask do chwytania żywych gołębiarzy, którym na przynętę dano do klatki żywe kury lilipucie, „bantamy srebrne", i przyrząd umieszczono w remizie.

Jak się dowiedziałem, jest Dolsk dzisiaj jedyną na Wołyniu fermą hodowlaną, racjonalnie prowadzoną.

Nic dziwnego zatem, że zlatują się do „Ostrowa" właśnie, na łatwą zdobycz, wszystkie wołyńskie gołębiarze, sokoły i krogulce. Szczególniej gołębiarze!

Rzecz wprost nie do wiary...

Między 29 sierpnia a 20 września ub. r. wpadło w ręce straży aż 10 gołębiarzy, 1 krogulec i przypadkowo 1 myszołów zwyczajny!

Cztery młode gołębiarze zabiły żelaza na słupach, jednego młodego ubił strzelec przy puhaczu, drugiego leśniczy nad „Misznem", a cztery złapało się żywcem w samotrzask, wśród nich dwie wielkie, stare samice.

Rezultat zadziwiający!...

Krogulca ubił bażantarnik w woljerze, w chwili, gdy wynosił z niej w szponach małego bażancika.

Myszołów uderzył także na puhacza i został zastrzelony „przez pomyłkę". Ażeby strażnika przekonać, że myszołów jest niewinny, dlatego po za lekcją o szczególnem jego upierzeniu i o innym sposobie latania, rozprułem wobec świadków wole ptaka i znalazłem w niem całego chomika...

Poco jednak leciał w pobliże bażantarni, tego wytłumaczyć nie umiałem.

Ale wracajmy do gołębiarza.

Pewnikiem jest, że niema nad niego większego w rewirze szkodnika. Nic mu nie ujdzie, nic się przy nim nie uchowa.

Zając, bażant i kuropatwa w polu, kaczka nad wodą, cietrzew i jarząbek w lesie, kura i kaczka na podwórzu, gołąb na dachu — oto jego łupy i codzienne pożywienie.

Najlepiej smakują mu, oczywiście, kuropatwy. Nie szuka jednak wśród nich, jak chcą niektórzy teoretycy, sztuk tylko chorych, nie niszczy zdegenerowanych, ale wybiera wszystkie co do jednej bez rachunku i opamiętania...

Dopóki go się nie wytępi bez reszty, dopóty jałowe będą wszystkie zabiegi i starania hodowlane najgorliwszych nawet hodowców.

Gdy gołębiarz wyłowi wszystkie kuropatwy i bażanty, gdy i zająca znaleźć nie może, gdy wreszcie drozdów, a nawet i wróbli już nie stanie, wtedy dopiero, przyciśnięty głodem do ostateczności, polować zaczyna na wrony.

Sądzę, że żadne teoretyczne rozważania na temat jego bardzo problematycznej użyteczności, nie wpłyną na hodowców ani na jotę, ażeby go zechcieli kiedykolwiek oszczędzać.

Prędko bowiem przekonają się o tem, jaki to rozbójnik!

Nawet ochrona przyrody nie może go wobec smutnych z nim doświadczeń, brać w opiekę...

Najlepszym przyrządem do jego usunięcia z rewiru jest bezsprzecznie wspomniany samotrzask.

WŁADYSŁAW GUERTLER.



Do Redakcji Łowca Polskiego.

Niniejszym zwracamy się z uprzejmą prośbą o łaskawe umieszczenie następującej wzmianki:

„Doszło do mej wiadomości, że niektórzy z byłych moich podwładnych pozwalają sobie na wydawanie świadectw strzelcom, że takowi odbyli praktykę leśną i łowiecką w Zarządzie lasów dóbr Krośniewice. Ponieważ do wydawania podobnych świadectw w mojem imieniu nigdy nikogo nie upoważniałem, przeto czuję się w obowiązku uprzedzić ogół P.P. Myśliwych, że świadectwa takie bez mego podpisu uważać należy za sfałszowane.

z poważaniem

P. LAZAR,

Nadleśniczy dóbr Krośniewice.

VII NARODOWE ZAWODY STRZELECKIE, MYŚLIWSKIE I ŁUCZNE W POZNANIU.

W dn. od 11 do 18 września b. r. włącznie odbędą się zawody myśliwskie o mistrzostwa: miasta Poznania — Wielkopolski — i Polski w ramach VII. Narodowych Zawodów Strzeleckich w Poznaniu i to na strzelnicy wojskowej przy końcu ul. Bukowskiej.

Członków naszych, Polskiego Związku Stow. Łow. w Warszawie oraz wszystkich innych zawodników zawiadamiamy, że piśmienne zgłoszenia na zawody myśliwskie przyjmuje do dnia 7 września sekretarjat Wielkopolskiego Związku Myśliwych w Poznaniu, Piekary 6 II., który zapisanym zawodnikom dostarczy program. Urządzeniem zawodów myśliwskich zajmuje się nasz Związek z ramienia Polskiego Zw. Stow. Łow. w Warszawie. Zawody myśliwskie obejmują dwa działy: I. strzelanie do rzutków — II. strzelanie kulowe do ruchomego jelenia — i to w klasach I i II.

Opłata za kartę uczestnictwa wynosi 2.— zł. i upoważnia do darmowego przejazdu kolejowego III kl. w drodze powrotnej.

Pozatem zawiadamia Związek nasz swoich członków, że nie urządza w tym roku związkowego konkursu strzelania, ażeby nie kolidować z Narodowemi Zawodami Strzeleckiemi.

Dla bliższej orjentacji pp. zawodników podajemy, że strzelania odbędą się na strzelnicy wojskowej przy ul. Bukowskiej w następującym porządku:

I. strzelanie śrutowe

11.9. strzelanie seryjne do rzutków — serja 10 rz. — opłata 7.— zł.

12.9. od godz. 8-mej do 12-tej strzelanie seryjne do rzutków — serja 10 rz. opłata 7 zł.

12.9. od godz. 13-tej do 18-tej strzelanie pulowe — serja 10 rz. — opłata 7 zł.

13, 14, 15.9. strzelanie do rzutków a) za najlepszy wynik 1 dnia o tytuł mistrza miasta Poznania, b) dwa dni o tytuł mistrza Wielkopolski, c) 3 dni o tytuł mistrza Polski — dziennie 100 krążków — wpisowe dziennie 20.— zł.

II. strzelanie kulowe do ruchomego jelenia.

11.9. seryjne — 10 strzałów pojed. lub 5 podwójn. — wpisowe 3.— zł.

12.9. od godz. 8-mej do 12-tej seryjne — 10 strzałów pojedn. lub 5 podwójn. wpisowe 3.— zł.

12.9. od godz. 13-tej do 18-tej strzelanie pulowe — 10 strzałów pojedn. lub 5 podwójn. — wpisowe 3.— zł.

13, 14, 15.9. strzelanie pojedyncze a) o tytuł mistrza Poznania — za największą ilość pkt. w 20 przeb., b) tytuł mistrza Wielkopolski — za największą ilość pkt. w 30 przeb., c) tytuł mistrza Polski — za największą ilość pkt. w 50 przeb. — wpisowe 3.— zł.

16, 17, 18.9. strzelanie podwójne o te same mistrzostwo co wyżej.

Prosimy o liczny udział. — Cześć Myśliwym.

ZARZĄD WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH

POKAZ I KONKURS PSÓW MYŚLIWSKICH NA POMORZU.

Pomorskie Towarzystwo Łowieckie (Toruń, ulica Sienkiewicza 10) od początku swojego istnienia zwraca szczególną uwagę na hodowlę i tresurę psa myśliwskiego. Towarzystwo organizując lub współdziałając przy urządzaniu trzech ostatnich konkursów wyżłów na Pomorzu doszło do przekonania, że konieczną jest dla dobra sprawy, dalsza wytrwała praca w tej dziedzinie.

W pierwszej połowie września b. r. organizuje Pomorskie Towarzystwo Łowieckie na prawobrzeżnem Pomorzu pokaz i konkurs wyżłów. Starając się udostępnić udział psom wykazującym nawet bardzo wielkie braki w tresurze, ustalono, że osobną częścią konkursu będzie pokaz psów, które ocenione będą celem selekcji hodowlanej przedewszystkiem z wyglądu zewnętrznego.

Psy te będą mogły wziąć udział w konkursie obejmującym wszystkie działy pracy przewidziane dla wyżłów dowodnych, albo w konkursie dla psów młodych o zredukowanym programie.

Jako nagrody przeznaczono: dyplomy na medale Pomorskiej Izby Rolniczej i inne, nagrody pieniężne i cenne podręczniki o hodowli i tresurze psa myśliwskiego.

Zgłoszenia przyjmuje i wszelkich informacji udziela Wiceprezes Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, p. dr. Jan Łukowicz, Chojnice, Dworcowa 41.

KOMITET REDAKCYJNY: J. Błeszyński, K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. br. Krasiński, St. Krzywoszewski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrung, Wł. Zabiełło i St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

OGŁOSZENIA DROBNE

Pointer, czarny „Splendor Faust“ z rodowodem do sprzedania. Ułożony konkursowo. Pierwsze pole, (do wypróbowania przy kupnie). Nagrodzony na wystawie r. b. złotym medalem. Po słynnym „Reku“ i Holmil „Extrze“. Cena 600 zł.

Settery, Laweraki: Suka „Alma“ z rodowodem, 2-gie pole. Bez specjalnej tresury. Cena 250 zł. Pies, „As“ 10-cio miesięczny z rodowodem pięknej maści i budowy, podtresowany. Cena 250 zł. (Fotografja „Almy“ i „Asa“ w nin. numerze).

Szczenię, piesek 3 mieś. z rodowodem. Cena 100 zł. Wiadomość: „Żółta Karczma“ Służew, poczta Warszawa 12. tel. 8-55-84 lub 8-51-14. Na odpowiedź proszę załączyć znaczek pocztowy.

Wyżełki niemieckie sprzedam. Ojciec Iwan pana Abramowicza, złoty medal, nagroda polowa — matka Vaga srebrny medal, nagroda polowa. Modlin Skrzynka 11 Hulla.

Wyżlica ostrowłosa, w drugiem polu, wiatr i aport bardzo dobry, do sprzedania za 300 zł. Wiadomość: administracja Łowca Polskiego.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru.

Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego"** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyńcze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego"** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego"** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić.

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".



Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.